

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

Przypatrujemy się sobie nawzajem, oceniamy, porównujemy spustoszenia dokonane przez los. Ten się posunął, choć nadrabia miną, ów zmarniał i wysechł na wiór, ta powoli odchodzi, przemija i wrasta w zmierzch. A niektórych widzimy nie widząc ich wcale; są ubogimi krewnymi, zamglonymi figurami nieznanymi wujów i dalekich cioc. Są z nami, bo tak nakazuje obyczaj. Skuleni w sobie, milczący i nieobecni duchem, zamazani w pamięci, przyjechali zakłócając ogólny, sielankowy nastrój braterstwa, sympatii, zabawy pokropionej nalewką. Mają odwieczne problemy, ale nie mówią o nich, gdyż nie ma komu. Próbowali, lecz odsuwano się od nich. Dzielili się nimi, lecz nie pasowały do szynki, klóciły się z deserem, z „czym chata bogata”. Wkrótce pojedą do siebie, do „wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”. Wnet powrócą do swoich syzyfowych dramatów, do swoich szarych zmagania, do nieznanego człowieka za ścianą, by znowu żyć do lustra, by, jak opłatkiem, łamać się ze swoimi zmartwieńiami. I w tym wstydliwym nastroju ktoś oznajmia, że pora coś zjeść.

Rozpoczyna się. Na stół zasłany serdecznością wjeżdżają tradycyjne potrawy, i sły chać łapczywe siorbanie, milczkiem żwawe chłęptanie, i dzwonią sztucze wyciągnięte z kredensu. Jedzenie ma jednak swój kres, więc rozpoczynają się rozmowy i chóralne śpiewy. Z początku smutne i nieśmiałe, lecz z każdym kieliszkiem nalewki – żywsze i coraz bardziej do tańca, niż różańca. Siedzimy swobodnie, już nie tak sztywno i oficjalnie, trawimy leniwie, bez pośpiechu, bo następnego dnia mamy wolne i możemy się zabrać za spanie do południa.

A po deserze i maluchu na drogę, wracamy żegnając się do następnego razu. Obiecujemy, że będziemy do siebie pisać częściej, utrzymywać ze sobą żwawsze kontakty. Całujemy się na schodowej klatce, ale tuż po wyjściu, zapominamy o wzruszeniu sprzed chwili, bo oto stajemy na wprost człowieka, którego co dnia dostrzegamy na przystanku. Zapędzony i nieprzystępny wczoraj, dzisiaj zatrzymuje się na nasz widok, traci swoją anonimową twarz i nagle okazuje się jednym z nas, raptem chcemy go poznać bliżej. Traktujemy go ciepło. Zauważamy jego postać, ale, ogarnięci procentową czułością, już następnego dnia nie możemy sobie przypomnieć, skąd go znamy i czego od nas chciał.

Wydaj książkę i zdechnij!

Muszę się poddać konserwacji, ponieważ ostatnio jeszcze bardziej niż kiedyś dostrzegam brak sensu w swojej pisaninie; męczę się

własną niechęcią przekonywania kogokolwiek do czegośkolwiek.

Ręce mi opadają, krew burzy przekrwione oko i czuję się jak nieproszony gość zakłócający drzemkę czytelnika. Nie mam pojęcia, kogo jeszcze mogę zainteresować swoimi wywodami.

Stałem się nudny, marudny, natrętny, monotematyczny i furiacki. To tyle w temacie SAMOKRYTYKA.

I w tym momencie zacząłem sobie przypominać, ile książek, bezcennych, a zbutwiałych starodruków nawet, ile arcydzieł literatury światowej udało mi się wydrzeć z lochów niejednej składnicy surowców wtórnych! Po godzinach oficjalnej pracy, kierownik placówki wpuszczał mnie na zaplecze i pozwalał (za ćwiartkę czystej) uprawiać wysokogórską wspinaczkę na wierzch papierowej hałdy i gdy on leżał u jej stóp, ja bawiłem się w archeologa omijając co grubsze szczury na ołowiowej diecie. A gdy magazyn był już przegrzebany, budziłem faceta i szliśmy do wagi. Kładłem na niej urobek, czyli wszystkie znalezione książki, a gość mi je sprzedawał. Cena była taka, że jeśli wszystkie ważyły pięć kilo, to w zamian musiałem mu przynieść pięć kilo gazet.

Tym sposobem wszystko się zgadzało i dzięki temu ja miałem sporą bibliotekę, on zaś - porządek w burdelu.

Czasy się zmieniły i funkcję makulaturowych magazynierów przejęły urzędy od odmawiania pomocy, wsparcia i dawania literatom popalić. Dla nich też nie było różnicy między książką, a papierzyskami. Sprytni ludzie zwietryli interes i wzięły sprawy w swoje ręce: zaczęły otwierać się na potrzeby wygłodniałego społeczeństwa. Kwitła więc produkcja bubli i na masową skalę powstawały rachitycznie wydawnictwa. Tak jak niegdyś w byle garażu siedział na skrzynce od piwa przyszły komputerowy Gates, teraz w byle internetowej piwnicy siedział sobie WIELMOŻNY PAN WYDAWCA i czekał na frajera z kasą. Czyhał na reflektantów i łyskał brylantyną niewiedzy. Naiwny klient wpadał mu w szpony i z drżącym rękopisem w rozłatanych rękach kucał z zachwytem, bo na wstępie dowiadywał się, że spłodził wiekopomne arcydzieło, które rozejdzie się w mig, a jak dobrze pójdzie, to jeszcze szybciej. Za co PAN HANDLARZ ręczył osobistym honorem.

Zanim przyszły noblista zrozumiał, że wydawca nie mógł go przeczytać, bo jeszcze niczego nie opublikował, już był ugotowany na miękko i gładko łykał kolejne banialuki. Jedną z nich była informacja, że nie poniesie kosztów, bo kosztami obarczy się sponsora. Tyle że sponsor jak raz wyjechał do Berdyczowa na zamkniętą kurację i zamiast niego może skorzystać z usług obywatela Komornika, na którego konto należy wpłacić marne grosze w liczbie trzech tysięcy złotych plus VAT. Tyle samo, albo o dwa złote mniej plus VAT, uiścić należy w księgarni, by książka nie powędrowała do ciemnego kąta, lecz znalazła się na miejscu, gdzie ją widać. Przy czym za

widok książki uplasowanej pod sufitem, buli się mniej, niż za widok teje pomieszczonej na wysokości oczu zezowatego kurdupla. Ale najdroższe są miejsca w sąsiedztwie półek z rankingowymi bestsellerami, czy pornusami.

Tam aż kotłuje się od oglądających, cmo-kających i odchodzących z kwitkiem. Na długich, chłodniczych ladach spoczywają komiksy, krzyżówki, rozmaite SF, magazyny pełne okrutnych narracji, ckliwych opowieści zajeżdżających bajkową scenografią, emfaticznych historyjek prowokujących do tarcia oczu i pociągania nosem, aromatyczne pomady w harlequinowskim stylu, jakieś kolorowe thrillery, fabularna przędza na wyczerpanym papierze, przygodowe rachatlukum, biesiadne tańce i hulanki z tasakami, garkotłukowy chłam, natomiast powieści Wojdowskiego, Kuśniewicza, Nałkowskiej lub Berezki próżno by szukać; księgarski subiekt nigdy o takich nie słyszał, no a w instrukcji obsługi klienta nie ma przepisu, by znać produkty przeterminowane.

Owszem, jeżeli autor nie wydzieli finansowo i zrezygnuje z wywieszania się w księgarni, może cały swój nakład pierdyknąć pod wyro i pobawić w komiwojażerkę. Ale uwaga: od tego również potrącany jest podatek na roz-bój kultury.

Różnica między stroicielem fortepianów a kompozytorem, należy do namacalnych namacalności i oczywistych oczywistości.

Ale jak jeden bez drugiego nie może istnieć i oboje są fachowcami w swoich branżach, to kompletnym nieporozumieniem jest zamiana ich ról. Zanim pękniemy ze śmiechu, wyobraźmy sobie, że do Bacha przychodzi naprawiać klawisz, siada za instrumentem, wyniośle i bezceremonialnie strofuje mistrza pouczając go w sprawach polifonii, a na deser wręcza mu instrukcję obsługi piszczałek pod tytułem zreperuj je sam. Albo Beethovena, jak idzie do sklepu, kupuje parę desek, pół tony gwoździ, zanoszą do domu i zbija sobie klawesyn.

Podobnie w literaturze: jeden jest oparwiancem książek, a drugi je pisze. Tak jak jeden jest kulturalny, a drugi pracuje w kulturze.

W tym miejscu zaczyna się robić poważnie, bo zdajemy sobie pytanie: kim jest obecny artysta, człowiek uprawiający zawód literackiego biznesmena? I odpowiadamy natychmiast: to figura na wskroś pragmatyczna; już nie twórca, lecz jeszcze nie człowiek interesu. Ot, złota rączka niepewnego geszeftu.

cdn.

Marek Jastrząb

